

## W HITLEROWSKIM OBOZIE FUNFTEICHEN - FILII GROSS-ROSEN

### 1. Selekcja więźniów w Gross-Rosen

Po przybyciu we wrześniu 1944 r. transportem z powstania warszawskiego do Gross-Rosen i otrzymaniu numerów obozowych, wszyscy więźniowie zostali zakwaterowani na blokach Nr 9 i 10, przeznaczonych dla nowo przybyłych, tzw. zugangów, dla wyeliminowania zakażenie chorych lub niezdolnych do pracy.

W tym czasie przydzielony zostałem do bloku Nr 10, którego blokowym był młody Austriak, wysoki, przystojny i energiczny mężczyzna. Lubił on twardą dyscyplinę i porządek, w tym utrzymywanie ścisłej higieny osobistej. Za znalezienie jednego insekta obiecywał "nagrodę". Do pomocy miał sztabowych i szlafsalowych, z których szczególnie jeden był bardzo aktywnym i gorliwym w wykonywaniu poleceń swego szefa blokowego. Głos miał ochrypły, lecz donośny, wszędzie było go pełno, a specjalnie dawał się we znaki więźniom podczas lokowania ich do snu. W barakach przeznaczonych na kwarantannę nie było łóżek, toteż spanie odbywało się na niewielu siennikach rozkładanych na noc bezpośrednio na podłodze. Ilość więźniów była tak duża, że szlafsalowy używał bambusowego kija do ubijania spragnionych snu, czyniąc to w ten sposób, że układał więźniów w bocznej, leżącej pozycji.

W ciągu nocy atmosfera była nie do zniesienia. Panujący zaduch z wydzielanego potu tak zmasowanych ciał doprowadzał do mdłości. Ludzie cierpiący na choroby żołądka lub pęcherza zmuszeni byli opuszczać swoje legowiska i udać się do ubikacji, mieszczącej się w drugiej części bloku. Takie sytuacje powodowały powrót do miejsca, które z reguły było już zajęte przez rozluźnienie się pozostałych kolegów. Następowo deptanie w ciemnościach, co wywoływało reakcje w postaci wzajemnego kopania się i wyzwisk. Najczęściej wychodzący zmuszeni byli czekać w przedsionku na poranną pobudkę.

W dzień mieliśmy obowiązek stać przed blokiem w dwuszeręgu i na komendę siadać lub stać. Tego rodzaju "zajęcie" było uciążliwe i męczące, uwzględniając istniejące warunki atmosferyczne na wierzchołku góry, na której zlokalizowany był obóz, czyli częste deszcze, na przemian słońce lub nękające wiatry. Ubranie nasze składało się w tym czasie ze spodni, bluzy, czapki i drewnianych czułek /bez bielizny osobistej/, nie mówiąc o skarpetach itp. W międzyczasie byliśmy przeprowadzani na Appelplatz, na którym odbywała się musztra w języku niemieckim /bacność, spocznij, czapki zdejm - włoż, szyk marszowy, zwroty itd./.

Wszelkie uchybienia, spóźnienia w wykonywaniu ruchów podczas musztry lub nieznanostwo swego numeru, wywołanego po niemiecku, powodowały indywidualne ćwiczenia karne, jak biegi wokół placu, żabki, czołganie się /lotnik/ względnie otrzymywanie kopniaków, bicie. Jeśli tych wykroczeń podczas musztry było więcej, przedłużano naukę, z jednoczesnymi zbiorczymi ćwiczeniami karnymi. Poruszanie się po blokach było zakazane. Do tego trzeba było mieć specjalne upoważnienie, z którego korzystała służba techniczno-konserwacyjna różnych urządzeń, np. elektrycznych lub kanalizacyjnych oraz inni funkcyjni więźniowie. Posiłki dwa razy dziennie donoszone były przez specjalnie wyznaczonych więźniów w kotłach-termosach.

Tylko chwilowa nieobecność blokowego mogła pozwolić na przeprowadzenie rozmów z kolegami czy z więźniami z sąsiednich bloków. Przy zgolonych głowach ze "sztrajfami" szerokości 6-7 cm trudno było poznać nawet najbliższych znajomych, których było wielu. Rozpoznałem wśród nich między innymi Mieczysława Jankowskiego z Warszawy, Romana Kucharczyka, Józefa Młynarczyka i wielu innych, przybyłych ze mną transportem z powstania warszawskiego.

Wreszcie skończył się okres kwarantanny, obowiązującej musztry, robienia porządków w obozie, takich jak czyszczenie szutru, którym wysypywane były wszystkie ścieżki i drogi przy blokach, czyszczenie z resztek trawy zasieków z drutu kolczastego przy ogrodzeniu parkanu obozowego. Doszła do nas wtedy obiecująca wiadomość o możliwości kierowania zągangów do pracy na tzw. arbeitskomandach. I rzeczywiście, następnego dnia, po odczytaniu tej wiadomości po śniadaniu, zarządzono zbiórkę naszego transportu /ok. 600 osób/ w grupach po sto osób na placu apelowym. Ustawieni w szeregu czekaliśmy. W pewnej chwili przybyła komisja, składająca się z esesmańskiego kierownictwa obozu, na czele której stał major Wehrmachtu.

Podano odpowiednie komendy: Achtung!, Müttzen ab! Przy tej poradzie nastąpiły indywidualne rozmowy i rejestracja numerów więźniów. Pytania stawiane przez komisję były następujące: wykształcenie, wykonywany zawód, lata praktyki, nazwa miejsca pracy, posiadane inne umiejętności zawodowe. Moje odpowiedzi były tak sformułowane, abym mógł być zakwalifikowany na wyjazd do arbeitskomanda. Podałem, że jestem absolwentem średniej szkoły mechanicznej, obeznanym z naprawą pojazdów samochodowych, że pracowałem w fabryce metalowej i podobne wymysły, gdyż zdawałem sobie sprawę, że odrzucenie mnie z transportu grozi skierowaniem do pracy w miejscowych kamieniołomach, co równałoby się bliskiemu kresowi mego życia. Tu muszę wyjaśnić, że moja sylwetka i stan zdrowia, mimo 23 lat, nie wskazywały na tężyznę fizyczną, możliwą do przetrwania obozu. Wpływało to ze złego odżywiania się podczas okupacji hitlerowskiej i z udziału w powstaniu warszawskim, podczas którego panował głód. W takiej też sytuacji była większość kolegów z ostatniego transportu. Znalazło to potwierdzenie przy rozmowie oficera z następnym więźniem, który przedstawił się jako inżynier elektryk, ze studiami na Politechnice Warszawskiej, odbytymi praktykami zawodowymi w Szwecji i Anglii oraz z 40-letnim stażem pracy zawodowej. Zapytany o wiek - 65 lat - został zakwalifikowany do krematorium.

## 2. Transport

Dalsze wypadki nastąpiły bardzo szybko. Nazajutrz o godz. 5 rano zostaliśmy wyczytani wg numerów na zbiórkę, zaopatrzeni w kromki chleba z plasterkiem margaryny oraz, co najważniejsze, w nowe pasiaki i nowe drewniane obuwie /bez płaszczy i bielizny osobistej/. Tak wyekwipowani na drogę, pod silną eskortą SS-manów zostaliśmy przeprowadzeni ok. 2 km do znanej nam już stacyjki kolejowej Gross-Rosen. Mijaliśmy uśpione jeszcze kamieniołomy, stojące wagoniki i lokomotywki parowe, dźwigi do przeładunku oraz śpiące miasteczko.

Transport kolejowy z Gross-Rosen odbywał się pod tym samym konwojem SS-manów. Po kilku godzinach, kiedy już się rozwidniało, przez okienka bydłących wagonów ujrzeliśmy Wrocław. Miasto, pod ówczesną nazwą Breslau, było już nam znane z transportu do Gross-Rosen. Mosty, baseny wodne i nurt Odry, liczne fabryki i duży

ruch - zrobiły na nas dodatnie wrażenie. Nie mogliśmy wtedy przewidzieć jeszcze, że Wrocław po wyzwoleniu będzie naszym miastem. Jazda pociągiem trwała z przerwami i postojami na bocznicach do następnego dnia rano. Zatrzymani na małej stacji, zostaliśmy pognani pod wzmocnionym konwojem SS-manów wzdłuż bagnistej drogi polnej. Po półgodzinnym marszu ujrzelśmy we mgle bramę nowego obozu koncentracyjnego, ale takie same druty pod wysokim napięciem i drewniane strażnice z wartowniami górujące na linii ogrodzenia parkanu. Były też duże jupitery migające w ciemnościach po całym terenie obozu, a wokół, wzdłuż linii drutów, rozmieszczone bunkry naziemne żelbetonowe dla postów z SS-mańskich kompanii wartowniczych.

Znaleźliśmy się w obozie koncentracyjnym Fünfteichen, podległym Gross-Rosen. Budowany od 1942 roku, położony był na wolnej przestrzeni podmokłych łąk, pół kilometra od wsi i stacji kolejowej Miłoszyce, w rozwidleniu torów kolejowych na trasie Opole - Wrocław, tuż na jego przedmieściach. Powierzchnia terenu obozu przekraczała centralę w Gross-Rosen. Było to jedno z największych komand i mieściło się na terenie powiatu Oława, z osiągalnym stanem dziennym w latach 1944-1945 do 6000 więźniów.

Fünfteichen, jak większość obozów koncentracyjnych, przeznaczony było między innymi dla dostarczania taniej siły roboczej firmie Kruppa "Bertha-Werke", Marktadt, zajmującej się produkcją zbrojeniową. Zakłady te oddalone były od obozu ok. 2 km /obecnie znajduje się na tym terenie fabryka autobusów "Jelcz"/.

### 3. Rozkład dnia

Rozkład dnia pracy więźniów był następujący: pobudka - godz. 5 rano, mycie się w rynnowych umywalniach i śniadanie, składające się z 3/4 l wodnistej zupy, tzw. melki, 25 dkg chleba, którego właściwie trudno nazwać chlebem, i 2 dkg margaryny. Zbiórka na apelowym placu o godz. 6. Podczas pobytu w umywalniach, umieszczonych w specjalnym bloku, ukradkiem wymieniano za pajdkę chleba papierosy, tytoń krupczatkę. Za chleb i margarynę można było wymienić części odzieży lub innego pożywienia. Najwyższą siłę nabywczą posiadały papierosy, które regulowały wartość pozostałych artykułów i w zależności od ilości przynieszonego "towaru" cena była każdego dnia inna. Zbiórka na apelplacu następowała wg bloków. Następowало zdawanie raportów raportfirerowi SS i raportfirera dla komendanta obozu o stanie liczebnym więźniów na blokach i na rewirze. Następną zbiórka była niezwłocznie po gongu obozowym wg przydziału pracy w halach fabrycznych oraz wymarszu poszczególnych kolumn roboczych esesmani jeszcze raz liczyli stan kolumn po stu ludzi każda.

Droga do fabryki wiodła początkowo przez przejścia torów kolejowych, następnie polem, wśród siatki z drutu kolczastego 3-metrowej wysokości, aż do bram fabryki. O godzinie 7 odbywały się zbiórki w halach fabrycznych i kolejne liczenie stanu więźniów, później zbiórki w poszczególnych działach produkcyjnych, tzw. szyfach, a następnie wymarsz na stanowiska robocze do konkretnej pracy. Dla bieżącego sprawdzania stanu liczebnego więźniów zarządzane były co 2 godz. zbiórki całej załogi. Następowowały one po podaniu sygnału przez syrenę fabryczną i nigdy nie trwały dłużej jak 5 min. Wyjątek stanowiły przypadki, gdy kogoś brakło.

Przerwa obiadowa następowała w fabryce od godz. 13 do 13,30. W tym czasie posiłki spożywali Niemcy, oraz pracownicy innych narodowości, zatrudnieni na wolnej stopie. Posiłki te były przywożo-

ne z centralnej kuchni w kotłach-termosach i na gorąco spożywane. Jak zauważyłem, odrębne zupy otrzymywali Niemcy, Włosi i pozostałe narodowości /termosy były oznaczane odpowiednim kolorem farby na zewnątrz, co wskazywało, dla kogo są przeznaczone/.

Niestety więźniowie na tego rodzaju uczty mogli się tylko z daleka patrzeć, a w korzystnym przypadku, gdzieś w zakamarkach składowisk fabrycznych wyczyścić z resztek zupy pusty zbiornik, ale to się trafiało tylko szczęściarzom. Większość więźniów, oszczędzając własne siły, bez obiadu lokowała się, gdzie się dało w zakątkach miejsc pracy, aby zasnąć na czas przerwy. Osobiście z najbliższymi kolegami kładłem się pod nawiewnikami ogrzewczymi na betonie i z miejsca zasypiałem. Przy tym na zmianę czuwaliśmy, aby na sygnał syreny obudzić się w porę na zbiórkę, gdyż wiedzieliśmy, że spóźnienie grozi publiczną chłostą. Nieraz byłem świadkiem takiego katowania więźnia za niedokładną produkcję, przekraczającą tolerancję błędu obróbki metalu, montażu itp. oraz za łamanie dyscypliny pracy, za nie zdjęcie czapki przed przechodzącym SS-manem, nie podporządkowanie się poleceniom kapo względnie doniesienia przez nadzór techniczny fabryki o złym wykonywaniu pracy. Wymierzenie kary polegało na tym, że na ławkę układało więźnia dwóch funkcyjnych i siadało mu na rękach, a innych dwóch wymierzało pejcem 40 do 50 uderzeń w pośladki, czy w plecy. Gdy katowany omdlał z bólu polewano go zimną wodą i dalej stosowano bicie. Obózowi funkcyjni, kapo i inni, częściej wymierzali doraźne kary na miejscu we własnym zakresie. Nawet za minimalne przekroczenia względnie za nieuwagę stosowano kary o różnym rozmiarze. Jako przykład tego niech posłuży fakt, jaki mnie spotkał. W 1945 r. zatrudniony byłem w hali Nr 5 na montażu głównym. Podczas zbiórki porannej na swoim dziale kapo Niemiec zauważył, że stojąc w drugim szeregu, na jego rozkaz "achtung" z opóźnieniem przybrałem postawę na "bacność". Otrzymałem za to silny cios butem poniżej żołądka, po którym, zemdlony, usunąłem się na beton. Koledzy, ratując, przenieśli mnie w bezpieczne miejsce i z trudem po zakończeniu pracy odprowadzili do obozu. Skutki tego kopnięcia były okropne. Zsiniąły okolice brzucha, pozostał silny ból, uniemożliwiający chodzenie. W przyszłości musiałem się jeszcze bardziej wystrzeżać, aby nie podpaść władzy obozowej.

Bicie więźniów nie było rzeczą przypadku. Utańło się w obozie takie powiedzenie: "Jak będziesz bity w poniedziałek, to spotykać cię będzie to samo w każdy dzień całego tygodnia". Bicie więźniów po twarzy lub szpicrutą przez funkcyjnych należało w zasadzie do codziennego porządku.

Powrót z fabryki do obozu odbywał się w takim samym układzie i dyscyplinie co droga z obozu do fabryki. Następowoło to o godz. 19 wieczorem. Czas pracy wynosił więc 12 godzin + 2 godz. marszu, czyli razem 14 godzin. Powracające kolumny maszerowały piątkami, licząc każda po 100 więźniów. Maszerujący mieli obowiązek trzymania się pod ramiona dla udaremnienia ewentualnej ucieczki. Próba ucieczki jednego więźnia powodowała rozstrzelanie pozostałej czwórki. Po stronie zewnętrznej drutów, co 10 kroków, szli uzbrojeni w broń maszynową SS-mani z tresowanymi psami. Od strony wewnętrznej drutów szedł kordon policjantów obozowych, rekrutujących się spośród więźniów niemieckich. Nosili oni na głowach białe nakrycia, a w rękach trzymali drewniane pałki na skórzanym uchwycie. Przestrzegali porządku maszerujących kolumn i nawoływali krzykiem do równania szeregów, stosując najczęściej pałkę.

Po powrocie do obozu następowało znów liczenie powracających z fabryki, musztra, czołganie się w błotnistym żużlu placu apelowego, czyli "gimnastyka".

#### 4. Życie w obozie i na bloku

Po apelu wieczornym chorzy mogli uzyskać zezwolenie blokowego na pójście na wizytę lekarską na "rewir". Najczęściej szli do lekarza chorzy z wysoką gorączką z różnych przyczyn, ale rewir to oddzielna relacja.

Obowiązkiem wieczornym była kąpiel. Przed barakiem, w którym znajdowały się natryski, bez względu na temperaturę dnia /zimnawo/ trzeba było zdjąć odzież, ułożyć ją w kostkę i przejść do łaźni, w oddzielnym baraku, gdzie każdy otrzymywał na rękę odrobinę sproszkowanego "mydła" koloru szarego piasku. Następnie, przechodząc pod prysznic, polewany był silnym strumieniem wody na przemian gorącej i zimnej. Cała ta "kąpiel" trwała ok. 5 min., po czym przydzielony specjalny więzień funkcyjny wypędzał opieszających za pomocą pałki gumowej lub drewnianej, aby zrobić miejsce dla następnych. W tych warunkach, bez ręcznika, trzeba było się szybko ubrać i udać na blok. Tam blokowy, po sprawdzeniu czystości osobistej i odzieży, czytelności numerów więźnia na bluzie i spodniach, wydawał przy pomocy sztubowego miskę zupy /norma litr/. Praktycznie chochła zawsze miała prawo się zakołysać w ręku sztubowego i w tym przypadku otrzymywało się ok. 3/4 litra. Na ten obiad, bo kolacji nigdy nie było, otrzymywaliśmy przeważnie brukwiankę lub inną lurę. Był to podstawowy i ostatni posiłek każdego dnia.

Mieszkałem na 9 bloku, którego blokowym był Karol Hołubiak z Warszawy, 19-letni chłopak z Grójeckiej, przebywający w więzieniach i obozach ok. 4 lat. Miał on nie lada praktykę w wykonywaniu swojej poważnej funkcji wychowawczej. Nie znając go wcale, starałem się nie podpaść i nie zawrzeć bliższej znajomości z jego pięścią lub pałką. Widząc, że życie obozowe nakazuje bardzo intensywnie myśleć, patrzeć i we właściwy sposób reagować na otaczające zjawiska, postanowiłem rezygnować z codziennej kąpieli po pracy w łaźni i w zamian myć się w umywalniach waszraumu. Bałem się, że kilka takich natrysków to zapalenie płuc i koniec. Czyniłem to więc w ten sposób, że myłem w zimnej wodzie głowę, szyję, uszy i jedną nogę, czyli to, co sprawdzał blokowy przy wydawaniu zupy. Jakie było moje zdziwienie, kiedy blokowy kazał mi obnażyć nogę nie tę, którą w tym celu umyłem, mimo mycia nóg na przemian. Po prostu wpadłem. Otrzymałem kilka gum po plecach oraz polecenie dokładnego umycia się. Wypełniając polecenie blokowego, otrzymałem w drodze wyjątku należną porcję zupy tylko dlatego, że byłem Polakiem tak jak on. W innym przypadku musiałbym głodować do następnego dnia. Po kilku miesiącach pobytu w obozach więźniowie opadali całkowicie z sił. Brak paczek żywnościowych i listów, których już nie przysyłały rodziny, szczególnie po upadku powstania warszawskiego i wyzwoleniu spod okupacji terenów Polski na linii Narwi i Wisły. Nie nadchodziły one również i z pozostałych terenów, już wyzwolonych. Ciężka ponad siły praca, głód, choroby powodowały liczne zgony.

Blok 9, jak i pozostałe bloki, był zbudowany z desek i ustawiony na betonowych podmurówkach. Wnętrze jego składało się z trzech części: środkowa, jadalnia, wyposażona w stoły drewniane i stołki, a nadto w żelazny piec węglowy. Pomieszczenie to służyło za sypialnię dla blokowego i było miejscem, do którego nie wolno było się zbliżać ani tam przebywać. Posiłki były wydawane właśnie w jadalni, lecz spożywać je trzeba było w pozostałych dwóch częściach baraku, na stojąco. Brak łyżek zmuszał do wykonywania ich

we własnym zakresie na terenie fabryki. Robiło się tam igły, brzytwy, noże i inne przedmioty. Nitki do szycia wydostawało się z węży gumowych.

Po obiedzie do czasu ciszy nocnej blokowy zarządzał różne uciążliwe prace: czyszczenie blatów stołów, stołków i ich części drewnianych tak, by wyglądały na wysoki połysk, mimo że nie były używane; czyszczenie drewnianych części prycz, kojek, zamiatanie i mycie podłóg, klozetów, porządki wokół baraku, wreszcie ostateczna funkcja - likwidowanie insektów we własnej odzieży. Pryczekojki na bloku były dwu- i trzypiętrowe, z papierowymi siennikami, których grubość /wraz ze "słomą"/ nie przekraczała 3 cm. Wszystko to bez pościeli, do przykrycia były cienkie i zużyte koce. Baraki były nie ogrzewane. Podczas zimy ściany od wewnątrz pokryte były grubą warstwą szronu, powstałego z naszych oddechów. Na jednej kojce spało po dwóch, a w niedzielę po 5 więźniów przypadało na kojekę. W tych warunkach można było się tam zmieścić, leżąc bokiem lub na przemian - nogi do głów.

Podczas ciszy nocnej, od godz. 22 do 5 rano, dość często zarządzano alarmy lotnicze próbne i prawdziwe. Przy takim alarmie wszyscy musieli w ciągu kilku minut opuścić blok i chować się w rowach przeciwlotniczych przed barakiem, przy czym nie było mowy o ubieraniu się. Każdy, jak mógł, łapał swoje rzeczy i biegiem udawał się do schoru.

Głód sprawiał, że jadło się wszystko co tylko dało się zjeść. Pospolite zupy obozowe ze "szpinaku", którym były pokrzywy lub gotowana trawa, również nie były wykluczone z konsumpcji. Bywali jednak tacy szczęśliwcy, którzy czasami spożywali czosnek lub cebulę, przesyłaną w paczkach od rodzin lub przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż.

Na moim bloku jedna z parterowych kojek w środkowym rzędzie była zasłaniana od czasu do czasu kocami, tworzącymi jakby parawan. Byłem pewny, że w tym łóżku wypoczywa jakiś zmęczony pracą kolega więzień. Jakie było moje zdziwienie, kiedy się dowiedziałem, że w tym miejscu spotykają się homoseksualiści, zapraszając do siebie tzw. "pipli", małoletnich chłopców. Działo się to wszystko za wiedzą blokowego, który tego rodzaju sprawy tolerował. Robili to przeważnie wysokiej rangi funkcyjni narodowości niemieckiej, zwani prominentami.

Na bloku 9 znajdowali się między innymi następujący więźniowie: Władysław Foryś, inż. Antoni Okniński, Roman Kucharczyk, dwaj moi bracia, Anatoliusz Brodzki i Ryszard Janczewski /brat przyrodni/, redaktor Michał Bonerko, Jak Rogoziński, Kazimierz Wielograf - wszyscy z Warszawy, a nadto Stanisław Swoboda, Tadeusz Paderewski, Leon Dziubiński, Ziółko ze Śląska, Tadeusz Krawczyk.

Z nimi, a także z innymi więźniami zamieszkującymi mój blok nawiązywałem rozmowy polityczne, dotyczące klęski Hitlera na froncie wschodnim i zachodnim. Ponieważ żadna prasa nie dochodziła do naszych rąk, pozostała nam wzajemna informacja. Najlepsze wiadomości z frontu i o sytuacji w Niemczech otrzymywałem od niemieckich kolegów, którzy sporadycznie uzyskiwali aktualną prasę hitlerowską. Często rozmawiałem ze starszym wiekiem Niemcem - antyfaszystą, przebywającym w więzieniach i obozach od 12 już lat. Był on w rozumieniu prawa III Rzeszy niebezpiecznym dla społeczeństwa i dlatego otrzymał wyrok całkowitej izolacji do czasu zakończenia wojny. Nosił ze sobą dużej wielkości mapę, wyciętą z gazety i rysował na niej czerwoną kredką linie frontu niemieckiego wg aktualnego stanu działań wojennych, przy czym cieszył się z istniejącej

sytuacji podobnie jak my. Często powtarzał, że kres panowania Hitlera jest już bliski i że możemy liczyć na szybkie wydostanie się na wolność. Oczywiście tego rodzaju pocieszające wiadomości przekazywałem najbliższym kolegom na bloki i na terenie fabryki. Miało to ogromne znaczenie dla podtrzymania ducha i wiary w zwycięstwo oraz w przetrwanie tej makabry. Załamanie psychiczne zawsze przyspieszało drogę do krematorium, a niestety miało to miejsce coraz częściej.

Zima w obozie dawała się bardzo we znaki i część więźniów wykonywała z worków papierowych po cemencie okrycia pod marynarki. Ja sam sporządziłem sobie takie okrycie z worka jutowego. Była to skuteczna ochrona przed wiatrem i zimnem, zwłaszcza podczas wielogodzinnego wyczekiwania na placu apelowym, kiedy to na ubraniach i częściach twarzy powstawał biały szron. Władze obozowe szybko zorientowały się, że więźniowie jakoś "utyli", zarządziło więc na placu apelowym zbiórkę i szperę na blokach. Wydano rozkaz zdjęcia ubrania i w taki sposób zostaliśmy pozbawieni naszych ocieplających uzupełnień odzieży. Powtórzenie się tego rodzaju wykroczenia zagrażało represjami karnymi.

Według planów komendantury obozów w Gross-Rosen, obóz Fünfteichen miał być poważnie rozbudowany i pomieścić 12 000 więźniów. W tym celu na początku 1944 r. rozpoczęła się budowa dużych, o dwu kondygnacjach, bloków z pustaków cementowych. Pod nadzorem cywilnej firmy niemieckiej zostali zatrudnieni więźniowie przy pracach ziemnych, instalacji wod. kan. oraz murarskich. Będąc zatrudniony na jednym z odcinków budowy, w pierwszym okresie pobytu w Fünfteichen zetknąłem się z następującym przypadkiem: Podczas południowego liczenia więźniów brygady budowlanej nowego obozu stwierdzono brak więźnia. Poszukiwania w pierwszym okresie nie dawały rezultatu. Byliśmy pewni, że nastąpiła ucieczka. Aż wreszcie po ok. dwóch godzinach sprowadzono na plac apelowy chłopca mającego ok. 17 lat, narodowości niemieckiej. Następnie przemówił komendant obozu, wyższy oficer SS. Sens tego przemówienia był mniej więcej taki: "Więźniowie znajdują się pod szczególną opieką administracji więźniarskiej, a w szczególności komendy obozu i dowództwa SS. Stworzone zostały im właściwe warunki do bytowania i zapewniono im pracę dla zwycięstwa Wielkiej Rzeszy. Łamanie regulaminu obozowego jest niedopuszczalne, a każde jego przekroczenie będzie przykładnie i surowo ukarane, aż do kary śmierci włącznie. Ten oto więzień próbował ucieczki i zgodnie z regulaminem powinien być rozstrzelany. Władza Niemiecka jednak stosuje również środki wychowawcze i, biorąc pod uwagę młody wiek więźnia oraz to, że przebywa on w obozie zaledwie od kilku dni - wydaje się decyzję ukarania go chłostą 50 pejczy. Jego niemiecka narodowość nie zwalnia go od przestrzegania regulaminu więźniów, wręcz przeciwnie, powinien świecić przykładem innym, a wymierzona kara jest bardziej surowa". Następnie komendant przestrzegał wszystkich przed podobnymi wypadkami, gdyż nie będzie stosowana żadna taryfa ulgowa, żadne ulaskawienia, tylko kara śmierci. Więzień ponadto zostanie skierowany do pracy w karnej kompanii i oznaczony czerwonymi naszyciami w postaci koła na bluzie i plecach, oraz wygolona mu zostanie na głowie droga sztrajta wzdłuż uszu, tworząc krzyż. To będzie widoczny znak, że próbował ucieczki z obozu.

Następnie przystąpiono do wykonania kary. Bicie po obnażonych plecach i biodrach i gdzie się dało, przypominało młóckę zboża cepami. Tego rodzaju katowanie wprowadzało skazanego w stan omdlenia. Jego krzyk lub wycie powodowało często, że komendant podwyż-

szął ilość batów. Nieprzytomnego skazańca zaciągnięto do pobliskiego baraku, przeznaczonego dla więźniów karnej kompanii. Oto była "lekcja wychowawcza" i objaw sadyzmu naszych opiekunów spod znaku trupiej główki.

## 5. "Rewir"

Szpital obozowy, tzw. "rewir", położony był w Fünfteichen na terenie zasadniczego obozu w wydzielonym miejscu, ogrodzonym parkanem z drutu kolczastego. Na tym terenie były 4 baraki, przeznaczone dla chorych, a dwa mieściły kostnicę, magazyn odzieży więziennej i umywalnię.

Sam odwiedziłem rewir kilkakrotnie, skarżąc się lekarzom na stan podgorączkowy, spowodowany przeziębieniem i wyczerpaniem organizmu. Przy tych wizytach otrzymałem jedną tabletkę bliżej nie znanego specyfiku o nie znanej mi nazwie i musiałem wynosić się na blok. Przy innej okazji zgłosiłem się do dentysty, ponieważ krwawiły mi silnie dziąsła i wszystkie zęby poczęły się ruszać tak poważnie, że groziły wypadnięciem. Przy tym silny ból w jamie ustnej całkowicie utrudniał jedzenie chleba. Porada u dentysty wyglądała mniej więcej tak: po zajęciu miejsca na stołku w rzekomym gabinecie lekarskim, lekarz spojrzął w jamę ustną i powiedział: "Co ty, bandyto, przyszedłeś, żebym cię wyleczył - to w warunkach obozowych nie jest możliwe. Twoja choroba to szkorbut. Awitaminoza zrujnuje ci cały organizm. Musisz jeść dużo cebuli lub czosnku, którego nie ma w obozie. Teraz zrób to, co w warunkach obozowych jest możliwe". W kącie na podłodze ujrzałem butelkę z ciemnym płynem oraz kubeł z kapustą. Czekam, co będzie dalej. Lekarz wyciągnął drut i owinał go watą, maczając w płynie. Jak się okazało, w butelce była jodyna. Wypędzłował mi dziąsła i wszystkie krwawiące miejsca jamy ustnej. Dał mi na rękę garstkę kapusty i kazał mi się wynosić na blok, naznaczając wizytę na dzień następny. Po tym pędzlowaniu lały mi się łzy z bólu, ale lepiej mi się zrobiło po natychmiastowym spożyciu kapusty. Ponieważ bardzo mi smakowała, postanowiłem powtórzyć tę kurację jeszcze tego samego dnia. Stałem w kolejce do lekarza jako ostatni. Lekarz z miejsca rozpoznał mnie po śladach jodyny na ustach i kijem przepędził grożąc, że na przyszłość zanotuje mój numer dla wymierzenia kary przez blokowego. I tak skończyła się moja kuracja, ponieważ następnego dnia lekarz już nie miał kapusty, odbyło się tylko pędzlowanie jodyną. Dależy mój kontakt z rewirem w późniejszym okresie był już bardziej konkretny. Dzięki niemu uratowany zostałem od niechybnej śmierci, ale o tym szczegółowiej opowiem dalej.

Zwiększająca się ilość chorych i ograniczona ilość miejsc na rewirze sprawiły, że chorzy byli odsyłani na blok bez jakiegokolwiek pomocy. W tym wszystkim jednak miałem trochę szczęścia, gdyż termometr wskazywał, że mam ponad 39<sup>o</sup> temperatury. Była to podstawa do przyjęcia na rewir, a dodatkowym argumentem sugerowana przez lekarzy możliwość zachorowania na tyfus, przy którym trzeba było szybko izolować chorego od zdrowych więźniów.

Przyjęcie na rewir było bardzo uproszczone. Wystawiano kartę choroby i kartę ciepłoty, która przytwierdzana była przy kojках. Kazano się obnażyć z odzieży i iść do umywalni umyć się pod nadzorem sanitariusza, który zwracał uwagę na umycie głowy i całego ciała, co było wykonywane pod lodowatą wodą bez stosowania mydła i ręcznika. Tak jak stałem, położyłem się na parterowej wolnej kojce w środkowej części baraku chorób wewnętrznych. Spanie w ni-

czym nie odbiegało od spania na bloku. Spłaszczony na grubość palca siennik, jeden koc bez bielizny osobistej i pościelowej. Rano i wieczorem sanitariusz zmoczoną w zimnej wodzie szmatą przecierał wszystkim chorym klatkę piersiową i kopiowym ołówkiem malował numer więźnia. To znakowanie miało uchronić administrację obozu przed zmianą numerów ludzi zmarłych na żyjących, co wiązało się z osobami posiadającymi wyroki śmierci sądów niemieckich lub wydziałów politycznych. Mimo to każdy więzień miał obowiązek zawieszenia na szyi "tabliczki śmierci", blachy, na której wybity był ewidencyjny numer obozowy. W Gross-Rosen nie stosowano tatuażu na ramieniu, jak to miało miejsce np. w Auschwitz.

Pierwsza noc przebyta w szpitalu była dla każdego koszmarem. Przybywając z wysoką gorączką, pomyślałem sobie, że teraz wreszcie naprawdę odpocznę i wyśpię się. Ulokowany na parterowej койce, przed zmierzchem rozmawiałem z najbliższymi chorymi, których bliżej nie znałem. Jakie było moje zdziwienie, kiedy po zbudzeniu się następnego ranka ujrzałem wokół mnie nieboszczyków. Wszyscy moi sąsiedzi w ciągu nocy zmarli. Pomyślałem sobie, kiedy przyjdzie kolej na mnie, aby ujrzeć ten nieznaną "lepszy" świat, bez męczarni i tortur.

Po tych rozważaniach zasnąłem. Obudził mnie sztabowy, wręczając miskę wodnistej melki. Po śniadaniu zapowiedziano inspekcję lekarzy SS. Przy wejściu naszych władców na teren bloku każdy chory miał obowiązek unieść się na komendę "achtung!" do pozycji półleżącej. Oczywiście martwi nie podnosili się i noszowi w tym przypadku mieli obowiązek wynoszenia zwłok do kostnicy. Przy takiej "inspekcji" sprawdzano przede wszystkim wysokość temperatury ciała chorych. Jeśli malała do 37°, wydawano polecenie zwolnienia na blok do pracy. Tych przypadków było niewiele, bo w większości były to ciężkie choroby obozowe, jak flegmona, biegunka, jaglica i inne.

Przed pójściem na rewir wiedziałem, że mój brat, Tadeusz, już tam przebywa. Nie było mowy o jakimś odwiedzeniu chorych na rewirze. Zastanawiałem się, jaką drogą dać znać bratu, że też tu jestem. Jakie było moje zdziwienie, kiedy w końcu sali w bloku, w którym przebywałem, ujrzałem brata. Był względnie wypoczęty, temperatura ciała spadła i wg tego kwalifikował się do wypisania. W tych warunkach, pod nieobecność funkcyjnych na sali, przyszedł do mnie. Ze słów jego wynikało, że nawiązał kontakt z kolegą z Krakowa, któremu blokowy z terenu obozu codziennie przemyca dodatkowe porcje zupy, chleba i margaryny. Odbywa się to drogą przez druty rewiru. Otrzymaliśmy od niego trochę nadprogramowego jedzenia.

Środki lecznicze, jakie stosowali lekarze były bardzo ograniczone, można powiedzieć - żadne. Ja byłem leczony w ten sposób, że otrzymywałem jedynie pastylkę nieznanego żółtego specyfiku, prawdopodobnie na spędzenie gorączki. I tak płynęły dni. Brat mój po tygodniu został uznany za zdrowego i poszedł na blok do pracy. Po dwóch tygodniach i ja musiałem wrócić do normalnych zajęć obozowych.

Wyżywienie dla zatrudnionych w fabryce było z dodatkiem dla pracujących, o czym już wspominałem, natomiast jedzenie szpitalne było okrojone o 1/3 racji dla pracujących. Zupy były bardzo wodniste, podobne do mlecznych, ale tylko w kolorze, i słodkie, na sacharynie.

Po moim przyjeździe na blok, blokowy gospodarz Hołubiak, zapytał: "No i co, bandyto, już jesteś zdrow - to weź się do roboty".

Przydzielili mi wtedy lekką pracę - czyszczenie szklistym papierem stołów w jadalni. Kontakty współwięźniów z innych bloków były bardzo utrudnione i ograniczone. Spotkania takie, zresztą nieliczne, odbywały się układkiem w umywalniach i latrynach w chwilach wolnych od zajęć na blokach.

Dzięki pamięciowej pomocy kolegów wymienię tu niektórych blokowych Polaków, sprawujących swe funkcje w 1944 r. do stycznia 1945 r.: Blok Nr 1 - Tadeusz /brak nazwiska/, Nr 2 - obywatel narodowości czeskiej, Nr 6 - Jan Nowakowski, Nr 9 - Karol Hołubiak, Nr 10 - Tadeusz Tański, Nr 24 - Czesław Dębski.

Z licznych więźniów politycznych Polaków, znajdujących się w Fünfteichen, między innymi znajdowali się: inż. Stanisław Frankiewicz /blok 10/, Tadeusz Krawczyk z Warszawy, Zygmunt Świeca i jego brat Świeca, Bogdan Tupikowski, Michał Augustyniak, Bogdan Wyrobiec, Tadeusz Łapiński z Łap, Feliks Kidawa z Krakowa, Jerzy Przybyłek z Koluszek, Edward Traczyk z Piaseczna, Jerzy Zwierzchowski, Piotr Długosz, inż. Antoni Zboński, Marian Tyminiński, Aleksander Beker z Warszawy /blok 1/, Stefan Ryś z Otwocka, Zygmunt Oruń.

## 6. Praca w Fabryce Kruppa "Bertha Werke"

Praca w fabryce, jak już wspomniałem, odbywała się na dwie zmiany: dzienna od 7 do 19 i nocna od 19 do 7 rano. Początek i koniec pracy następował przy sygnale syreny fabrycznej i liczeniu więźniów przez SS-manów na głównej drodze komunikacyjnej wewnątrz hali fabrycznej. Hala miała wymiary około 400 x 250 m, wzdłuż hali mieścił się mały skład pociągu towarowego, 10 wagonów i lokomotywa.

Po przybyciu do fabryki otrzymałem przydział, jako nowicjusz, do pracy w hali nr 5, w której odbywał się montaż połowych armat. Grupa nasza liczyła ok. 50 więźniów i została skierowana na przeszkolenie do szkoły fabrycznej. Było to niewielkie miejsce wydzielone w środku hali fabrycznej, ogrodzone kilkumetrową siatką drucianą. Stały tam frezarki, tokarki, szlifierki, wiertarki oraz stoły kreślarskie wyposażone w imadła, pilniki i inne narzędzia. Przez ponad tydzień byliśmy tam pod stałą opieką kapo, który ustawiał nas w dwuszeregu, wydając co jakiś czas rozkaz, aby stać lub siedzieć na zimnym betonie. Przy maszynach i obrabiarkach pracowali więźniowie, obrabiając części metalowe. Przypuszczam, że był to rodzaj długotrwałego szkolenia, gdyż kilku więźniów, przydzielonych do maszyny, dokonywało powtarzające się operacje pod okiem fachowca, też więźnia. Początkowo sądziłem, że i nas przeszkolą, kiedy zostaną przeszkoleni nasi poprzednicy. W rzeczywistości stało się inaczej. Dwutygodniowy pobyt w tej drucianej klatce, jak w ogrodzie zoologicznym, stania tam lub siedzenia w bezruchu przez 12 godzin nie miał żadnego sensu. Opasły, młody, o czerwonej twarzy kapo Niemiec, z nudów wyżywał się nad nami. Usłyszawszy gdzieś za plecami rozmowę więźniów, szybko karał winnych biciem po plecach, twarzy lub gdzie się dało swoją gumową pałką, której nie wypuszczał z ręki. Załatwianie potrzeb fizjologicznych mogło się odbywać pojedynczo, w pomieszczeniu odległym o 150 m, zlokalizowanym przy bocznej ścianie hali. W tym celu kapo zugianga udającego się do tego przybytku oddawał pod opiekę "starego" więźnia. Charakterystycznym przykładem stosowanego sadyzmu przez kapo był przydział temu samemu więźniowi czyszczenia codziennie tej samej tokarni, która stała bez ruchu. Trwało to przez całe 12 godzin

bez najmniejszej przerwy. Jeśli kapo zauważył, że czyszczący maszynę przerwał swoją pracę choć na chwilę lub rozmawiał z sąsiadem natychmiast wymierzał mu rązy.

Po okresie takiego "szkolenia" nastąpiła decyzja rozmieszczenia szkolonych więźniów do właściwej pracy. Bez spodziewanego faktycznego szkolenia zawodowego pewnego dnia ujrzelśmy przedstawicieli niemieckiego dozoru fabryki. Jak się okazało, byli to majstrowie poszczególnych działów produkcyjnych: spawalni, nitowni, tokarni, frezarek, narzędziowni i montażu głównego. Rozpoczęły się rozmowy, z których zorientowałem się, o co chodzi. Trzeba było szybko pomyśleć, jak trafić do działu produkcji, który byłby najbardziej odpowiedni, a z drugiej strony najmniej szkodliwy dla siły i zdrowia. Następnie odbył się egzamin praktyczny, na który składało się: ręczne piłowanie części metalowych pilnikiem, odczytywanie wymiarów na suwmiarce, dokonywanych na wyrobach fabrycznych. Ponieważ majstrowie już wcześniej wiedzieli, że jesteśmy "fachowcami" od metalu, zaczęli wybierać kandydatów do swoich działów. Wyglądało to jak kupno niewolników na targu. W międzyczasie przeprowadziłem rozmowę z jednym z majstrów montażu głównego, który zgodził się wziąć mnie do pracy. Następnie uprosiłem majstra, żeby przyjął do pracy mojego brata Tolka. Drugi brat Ryszard, mimo moich zabiegów, nie trafił do naszego działu, lecz do brygady spawaczy elektrycznych. W ten sposób rozdysponowano wszystkich więźniów, kierując się raczej własną oceną wizualną, a nie ich fachowością. Decydował przypadek, wiek i kondycja fizyczna, dająca nadzieję na dłuższą eksploatację człowieka.

Następnego dnia otrzymałem swoje stanowisko pracy, która polegała na szeregu czynnościach przy montażu zasadniczej części podwozia armaty. Praca ta wymagała obróbki części metalowych, szlifowania ich przy użyciu szlifierki i przecinaków pneumatycznych, a często użycia zwykłego 5 kg. młota dla spasowania niektórych grubszych elementów. W wielu przypadkach niezbędne było korzystanie z pomocy spawarki elektrycznej dla nadlania stopu i szlifowanie niektórych części.

Po czterech dniach pracy - nauki majster nakazał nowym pracować samodzielnie. Szło nam to niemrawo. Zdawaliśmy sobie sprawę, dla kogo i dla jakich celów pracujemy pod przymusem, robiliśmy więc wszystko, aby pracę opóźnić i jak się dało sabotować. Majster, widząc naszą małą wydajność, wezwał kaposzyfa i oświadczył, że nie wykonujemy przewidzianych norm dla więźniów. Rozmowa kapo z nami była bardzo krótka. Zapowiedział, że przy powtórzeniu się takiego meldunku majstra zawiadomione o tym zostaną władze SS, a winni poniosą karę, gdyż fabryka, w której pracujemy, jest zakładem o produkcji wojennej. To pierwsze poważne ostrzeżenie pod naszym adresem przejęło nas, gdyż wiedzieliśmy, co z nami w takich przypadkach mogą zrobić. W następnych dniach staraliśmy się więc utrzymać pozory dobrych pracowników, wyrabiając normę minimum i pomagając przy tym sobie wzajemnie.

W pracy tej zacząłem szukać sposobów i metod dla oszczędzania własnych sił, nie licząc się wcale z jakością wykonywanej pracy. Skutki mojej "usprawnionej" pracy, a właściwie sabotażu nie dały długo na siebie czekać. Na pewno części mojego montażu wpływały na krótką użyteczność wyrobów i rozpadanie się armat, a to właśnie był mój cel i moich kolegów.

Na dziale montażu zatrudniony był Antoni Sobociński, z którym niejednokrotnie przeprowadzałem rozmowy na temat metod stosowania sabotażu. Podał mi on wiadomość, że Niemcy nie prowadzą ścisłej

ewidencji więźniów wykonujących pracę określonych elementów, stąd też po odbiorze pracy przez kontrolę techniczną trudno jest ustalić, kto odpowiada za braki. Majstrowie natomiast rozliczali się z pracy więźniów ogólnie, rejestrując codziennie ich numery obozowe.

Wypoczynku podczas pracy w zasadzie nie było. Miały miejsce ciągle zbiórki na środku hali, sprawdzanie przez SS-manów stanu liczebnego więźniów i komenda pozwalająca na rozejście się do stanowisk pracy.

Pod koniec listopada i w późniejszym okresie 1944 r. następowały opóźnienia dostaw części do montażu głównego i innych działów. Fabryki niemieckie, zlokalizowane na terenie Prus Wschodnich, były w tym czasie objęte bombardowaniem przez Armię Radziecką. Z tych przyczyn następowały częste przerwy produkcyjne w naszej fabryce. W takich sytuacjach władze niemieckie przemieszczały więźniów do różnych działów, tam gdzie mogła odbywać się produkcja, np. w nitowni, przy gwintowaniu śrób, transporcie wewnętrznym itp.

Do chwil tzw. wypoczynku można było zaliczyć przebywanie w ubikacji. Czas przejścia tam i z powrotem zaliczany był do wypoczynku, nie licząc zasadniczego pobytu w ubikacji.

Przed wejściem do ubikacji stał funkcyjny zaopatrzony w pejcz. "Szajskapo", jak go żartobliwie nazywaliśmy, kontrolował on tzw. "szajsmarki", okrągłe metalowe blaszki, na których uwidoczniony był nr hali fabrycznej i nazwa szyfu. Blaszki takie, będące jednocześnie przepustką do ubikacji, znajdowały się pod ścisłą opieką i ewidencją szrajbera szyfu. Były one w dwóch kolorach: zielonym - uprawniającym do wejścia do pisuaru, i czerwonym - uprawniającym do zajęcia sedesu. Takich kolorowych marek w naszym dziale na 50 wuźniów wydawano 5 sztuk. Można było je otrzymać od szrajbera, który prowadził ścisłą ewidencję /nr więźnia, nr marki, godzina pobrania i godzina oraz minuta zwrotu/. W ten sposób szajskapo mógł odpowiednio regulować ruchem w nadzorowanej ubikacji. Spotkanie więźnia z zieloną marką na sedesie upoważniało kapo do stosowania kary pejczem na miejscu, co w zasadzie działo się na porządku dziennym.

Okoliczności sprawiły, że na moim dziale szrajberem był mój kolega z okresu okupacji, z którym pracowałem jako konduktor warszawskich tramwajów. Był to Ryszard Zawadzki. Tego rodzaju znajomość pozwoliła mi na szukanie pomocy przy uzyskaniu szajsmarki, która nie byłaby kontrolowana przez nikogo i z której będzie można korzystać w każdej chwili. Zawadzki udostępnił mi taką markę, oczywiście czerwoną, z której korzystałem w razie potrzeby tylko najbliżsi i wtajemniczeni.

Wśród załogi "starych" więźniów naszego działu, jak mi się wydawało bez większego wysiłku pracowali Rosjanie. Wypływało to po prostu z tego, że przed aresztowaniem pracowali oni w fabrykach i byli przyzwyczajeni do warunków pracy, z którą się tu zetknęli. "Wydajna" praca była raz w tygodniu nagradzana przez majstra przyznawaniem "premieszajnu" o umownej wartości jednej marki niemieckiej. Za "dobre" wytki pracy również kilku kolegów otrzymało od 2 do 3 marek tygodniowo. Oczywiście grupa "nowych pracowników" o premii nie mogła nawet marzyć, raczej słyszeli tylko ciągle uwagi i nagany za złą pracę oraz groźby konsekwencji. Pomyślałem, że nigdy nie doczekam się takiej premii i postanowiłem działać od strony psychologicznej. Na kwadrans przed zakończeniem pracy, krojąc wodą beton, zabrałem się do zamiatania całego działu. Ruszyło to sumienie starszego wiekiem majstra. Poklepał mnie po ramieniu mówiąc, że za to dostanę "premieszain", bo to jest higiena w

fabryce. I w ten sposób w najbliższą sobotę otrzymałem pierwsze i ostatnie dwie marki, czyli majątek nielada. Kantyna obozowa za jedną markę wydawała: 10 papierosów "Juno" i miskę zupy względnie 10 deko zepsutej pasty rybnej firmy "Maggi". Papierosy można było wymienić na inne artykuły spożywcze: margarynę, chleb, a nawet na części garderoby. Zupę zjadało się natychmiast, a bardzo słona pasta służyła do smarowania chleba i tylko zwiększała pragnienie.

## 7. Ewakuacja i wyzwolenie

Nieoficjalne wiadomości, jakie docierały i krążyły wśród więźniów, wskazywały w drugiej połowie stycznia 1945 r. na zbliżający się front atakującej Armii Radzieckiej i u jej boku Armii Polskiej od Wschodu oraz armii alianckich od Zachodu. Potwierdzał to istniejący chaos organizacyjny wśród zarządu i majstrów fabryki. Nierytmiczne dostawy części do montażu z innych terenów Niemiec powodowały przerwy produkcyjne, przestoje maszyn i brak możliwości zatrudniania więźniów i licznych obcokrajowców, pracujących z wolnej stopy.

Wcześniej jeszcze, bo na początku stycznia 1945 r., zapowiedziano bardzo ważne wystąpienie komendanta obozu do wszystkich więźniów i funkcyjnych. Przeżywaliśmy tę zapowiedź z dużym niepokojem nie wiedząc, co może nas spotkać. Aż wreszcie chwila ta nastąpiła. Po powrocie z fabryki, ustawieni na placu apelowym, oświetlonym tego wieczora wszystkimi reflektorami ze strażnic i na samym placu, po sprawdzeniu stanu więźniów przez raporfirerów, byliśmy przekonani, że nastąpiła jakaś ucieczka, że uciekinierzy zostali schwytani i czekamy na publiczną egzekucję. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy usłyszeliśmy w różnych językach tłumaczenie słów komendanta obozu. Brzmiały one w naszych uszach jak dzwon wieszczący wolność: "Więżniowie, jesteście pod dobrą opieką SS i kierownictwa obozu. Macie zagwarantowane wszystko, co więźniom można stworzyć w warunkach wojny. Zbliży się koniec wojny, której zwycięstwo należeć będzie do Hitlera i Trzeciej Rzeszy. Koniec wojny to dla was koniec pobytu w obozie i powrót do domu do waszych rodzin. Jednak władze obozowe przestrzegają, że teraz właśnie dyscyplina musi być szczególnie przestrzegana przez więźniów, a wszystkie polecenia władz obozowych i samorządu więźniarskiego całkowicie respektowane. Brak posłuszeństwa będzie surowo karany aż do kary śmierci łącznie".

Blokowy Hołubiak, wyraźnie podniecony rolą tłumacza, chciał ze swej strony też coś wnieść, oświadczając uroczystym głosem: "Wy bandyci, jak chcecie ujrzeć wolność, która już jest blisko, nie próbujcie ucieczek lub innych sztuczek, bo zginiemy wszyscy. Za takie próby będę sam wymierzał stosowne kary".

Tym akcentem zakończyło się przemówienie komendanta obozu, po którym wróciliśmy na bloki. Tego rodzaju niecodzienne wystąpienie było z miejsca wśród więźniów i funkcyjnych odpowiednio komentowane, a jednocześnie stwarzało nadzieje przetrwania i podnosiło na duchu. Idąc następnego dnia do fabryki widzieliśmy, że ludność niemiecka wychodziła na okoliczne pola z łopatami, budując rowy strzeleckie i przeciwczołgowe dla swoich wojsk. Były to umocnienia na przedpolach Breslau. Jednak wiadomości, docierające do obozu potwierdzały, że front niemiecki jest w ciągłym odwrocie.

Błyskawiczna ofensywa Armii Radzieckiej, rozpoczęta 12 stycznia 1945 r., spowodowała, że SS-mańskie władze zarządziły natych-

miastową ewakuację naszego obozu do Gross-Rosen. Wśród więźniów Fünfteichen z bloku nr 9, który był moim blokiem przed kolejnym pójściem na rewir, byli dwaj moi bracia, Rysiek i Tolek, i wielu innych, już uprzednio wymienionych. Na rewir trafiłem ponownie z placu apelowego, na którym zemdlałem z wyczerpania. Ewakuacja z rewiru była poprzedzona szeregiem po sobie następujących badań chorych, a raczej selekcją, prowadzoną początkowo przez lekarzy, a następnie przez samych SS-manów, którzy decydowali i kwalifikowali chorych do włączenia ich do kolumn ewakuacyjnych. Wyglądało to tak, że każdy chory był dosłownie stawiany na nogi przy pomocy personelu rewiru i gdy tylko potrafił utrzymać się chwilę o własnych siłach - kierowano go do ewakuacji.

Godzinę wymarszu ogłoszono biciem dzwonu i gongów obozowych, po czym nastąpiło liczenie więźniów, bicie, popychanie. Słowem - jak co dzień. Na terenie rewiru dokonano przegrupowania chorych, których pozostało przy życiu około 300, segregując ich i lokując według rodzajów chorób, jak: czerwonka, tyfus, flegmona i inne. Baraki rewiru, jak się później okazało, były zaminowane, co groziło całkowitą zagładą pozostałych jeszcze przy życiu chorych. Mimo ewakuacji więźniów z głównego obozu, byliśmy nadal strzeżeni przez SS-manów: dopiero 22 stycznia 1945 roku po południu przekazano obóz do strzeżenia polowej żandarmerii i policji niemieckiej.

E tym czasie, nie otrzymując posiłków, rozpoczęliśmy gotowanie zup raz dziennie ze "zorganizowanych" resztek jedzenia i rozmaitego zieleńca. W większości przypadków chorzy silnie gorączkowali i nie zdawali sobie nawet sprawy, co się wokół nich działo. Wzrastająca ilość codziennych zgonów, nie ogrzewane baraki, brak wody, światła, pożywienia powodowały zupełne otępienie myślowe, niereagowanie na otaczające zjawiska, słowem bezwład myśli i woli. Sytuacja taka była nie do zniesienia.

Wielka śmiertelność więźniów i leżące sterty ciał ludzkich przed barakami zmusiły wreszcie Niemców do zarządzenia zakopywania trupów obok obozu, około 150 metrów od głównej bramy w kierunku wsi Miłoszyce, w małym, liściastym lasku. Transport ciał odbywał się w ten sposób, że ok. 10 więźniów ciągnęło za nogi nieboszczyka na miejsce, do głębokiego dołu, w którym miał być zakopany.

Dalekie odgłosy artylerii, a wkrótce i karabinów maszynowych, zwiastowały zbliżający się front i wolność tym, którym starczy jeszcze sił na parę dni. Atmosfera wśród więźniów stawała się niepokojąca, napięcie wzrastało z godziny na godzinę. Szeptano, że zostaniemy wysadzeni w powietrze względnie obrzuceni granatami i spaleni dla zatarcia hitlerowskiego barbarzyństwa. Jednak bardziej wytrwali starali się podnieść pozostałych na duchu, wskazując na wyraźne zbliżanie się frontu i Armii Czerwonej, niosącej wyzwolenie.

Drugiego dnia i nocy takiego wyczekiwania, żandarmeria dokonała przeglądu baraków, zapowiadając jednocześnie i przestrzegając, że każde wychylenie głowy z baraku lub usiłowanie wyjścia grozi natychmiastowym zastrzeleniem. Mimo zamkniętych okiennic w naszych barakach, siedząc w ciągu dnia w półmroku, obezwolaliśmy przez szpary, co się dzieje przy barakach komendy obozu, opuszczonej przez SS-manów. Widzieliśmy, że warty są okresowo zmieniane, a straż obecnie sprawuje wojsko, ubrane w cywilne ubrania, z karabinami.

Po długim jak całe wieki dwudniowym wyczekiwaniu nadeszło wreszcie dla nas wyzwolenie. Pamiętnego dnia 23 stycznia 1945 roku, o godzinie 11 rano przy 18-stopniowym mrozie i śniegu, dwuna-

stu zwiadowców konnych Armii Czerwonej, okrytych białymi pelerynami, przyniosło nam upragnioną wolność. Oddział Armii Radzieckiej, przybywający do obozu, spotkała nieliczna już grupka więźniów u bramy wjazdowej. Trudno opisać to spotkanie. Radość i łzy więźniów łączyły się z niedowierzaniem, że można już swobodnie rozmawiać z oswobodzicielami. Zapoznając się z warunkami życia więźniów, żołnierze radzieccy pytali, czy wśród nas znajdują się jeszcze oprawcy, którzy mordowali więźniów. Jak się okazało, było wśród nas jeszcze dwóch kapo obozowych, którzy korzystając z zamieszania podczas ewakuacji ukryli się wśród chorych więźniów. Jednym z nich był kapo o przyzwisku "Cygan". Przeprowadzono krótką rozprawę sądową na placu apelowym; zapadł wyrok rozstrzelania obu kapo. Jednocześnie oznajmiono nam, że chorymi zajmą się sanitariusze wojskowi, którzy przybędą w niedługim czasie. Dla tych zaś, którzy mogą wyjść o własnych siłach z obozu, droga na Wschód jest już wolna.

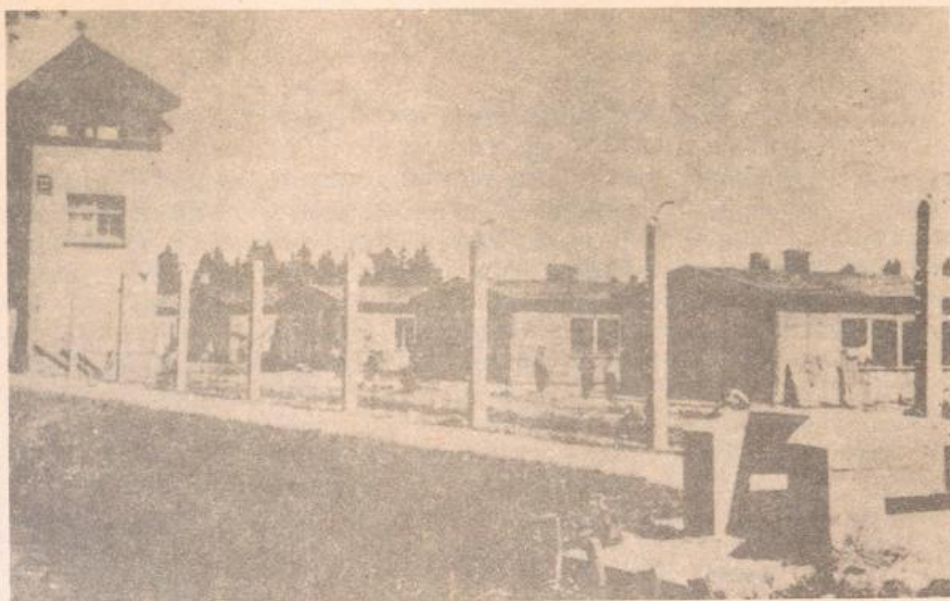
Ponieważ wszyscy chorzy na rewirze pozbawieni byli bielizny osobistej, leżąc na pryczach pod jednym kocem, zaszła konieczność wyszukania ubrań i bielizny dla tych, którzy mogli udać się do swoich rodzin. Kilku więźniów "zorganizowało" z pobliskiego domu kolejowego ubranie, ułatwiając w ten sposób wyjście niektórym kolegom z obozu bezpośrednio po jego oswobodzeniu. Otrzymawszy ubranie znalazłem się i ja w pierwszej grupie opuszczającej obóz. Wśród więźniów tej grupy poza mną byli: Stefan Ryś z Otwocka, Roman Kucharczyk z Warszawa, Tadeusz Łapiński z Łap i paru z Żyrardowa.

Jak stwierdziliśmy, w magazynach poza drutami obozu znajdowały się spore zapasy żywności, z których dla czteroosobowej grupy wzięliśmy jeden bochenek chleba i 4-kilogramową skrzynkę marmolady, lecz z tych prowiantów nie skorzystaliśmy. Okazało się bowiem już na pierwszym kilometrze naszego powolnego marszu, że zabrakło nam siły do niesienia żywności. Trzeba było pozostawić ją. Dochożąc do pierwszej wsi /obecne Miłoszyce/, oddalonej o 0,5 km od obozu, spotkaliśmy Polaków oznaczonych literą "P". Byli to robotnicy wywiezieni przymusowo na roboty do Niemiec.

Mimo jazgotu karabinów maszynowych, huku dział i rozrywających się pocisków artyleryjskich wracaliśmy razem do domu. Droga do kraju wiodła przez miasta: Namysłów, Kluczbork, Lubliniec i Częstochowę do umęczonej, drogiej każdemu Polakowi Warszawy.

Ja byłem wolny, lecz moi bracia i wielu, wielu moich kolegów - nie doczekali się tak upragnionej wolności. Wszyscy zginęli z rąk hitlerowskich oprawców podczas wielomiesięcznej tułaczki ewakuacyjnej po różnych obozach koncentracyjnych, rozsianych gęstą siecią na terenach III Rzeszy.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.10



Fragment obozu Fünfteichen  
Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.1.11.



Obóz "Fünfteichen" w 1965 roku; oglądała  
go grupa b. więźniów  
Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.1.2